Pędzą saneczkarki
krzycząc wielkim głosem:
— Wszędzie można zjeżdżać
byle nie na szosę!

Rys. M. Kościelniak

Świat MŁODYCH

GAZETA HARCERSKA

Nr 12 (1900) 10 lutego 1970 r. Cena 50 gr

ŻYRAFA
- wybryk natury?

NIE WIADOMO właściwie, jakie losy zagnały niejakiego Melchiora Lorcha z Flensburga aż do Konstantynopola czyli Istambułu, jak go wówczas Turcy nazywali. Ważne jest, iż mógł się tam do woli napatrzeć różnym dziwnościom na dworze wielkiego sułtana Solimana. Kiedy zaś w 1599 roku Lorch powrócił do ojczyzny, namalował obraz największego cudu, jaki widział w Istambule. Obraz ten przedstawiał bardzo cudaczne zwierzę. Miało ono wysokie nogi i długą szyję — jak wielbłąd — było centkowane jak pantera i miało na głowie rogowate zgrubienia jak jeleń po stracie rogów. Jak się domyślacie, była to żyrafa.

KARABIN I BATUTA

LIPCOWY UPAŁ wyciskał z maszerujących ostatnie poty. Na rozległym placu żołnierze wybijali defiladowy krok w takt wojskowej muzyki. Za kilka dni miała się odbyć wielka parada ku czci 25-lecia naszej ojczyzny.

Ponad 500-osobową orkiestrą dyrygował kapelmistrz w stopniu podpułkownika.

— To Albrecht Liszok — szepnął mi któryś z dziennikarzy wojskowych. — On właśnie prowadził orkiestrę dwadzieścia pięć lat temu w czasie pierwszej defilady w wyzwolonej Warszawie.

Rząd baretek od medali na bluzie munduru świadczył, że podpułkownik w czasie wojny parał się nie tylko dyrygencką batutą...

„Warszawianka" — Warszawie

TAK, wtedy, dziewiętnastego stycznia 1945 roku prowadziłem orkiestrę w czasie pamiętnej defilady... Byłem wówczas kapelmistrzem II Dywizji — potwierdza podpułkownik Liszok.

— W dniu 17 stycznia została wyzwolona Warszawa. W nocy, z siedemnastego na osiemnasty przyleciał goniec z rozkazem, że rano mam się meldować w dowództwie Dywizji. Melduję się. Okazuje się, że będzie defilada...

W czasie wojny orkiestra nasza przydzielona była do Batalionu Sanitarnego. Zacząłem więc ściągać swoich ludzi z lazaretów. Ćwiczyliśmy przez cały dzień osiemnastego stycznia.

Dziewiętnastego rano stawiliśmy się w rejon dzisiejszego Dworca Gdańskiego, który to dworzec wówczas nie istniał. Stamtąd maszerowaliśmy zamienioną w gruzy ulicą Marszałkowską. Mróz piekielny. Zamarzały wentyle od instrumentów. Ustniki

Ciąg dalszy na str. 2

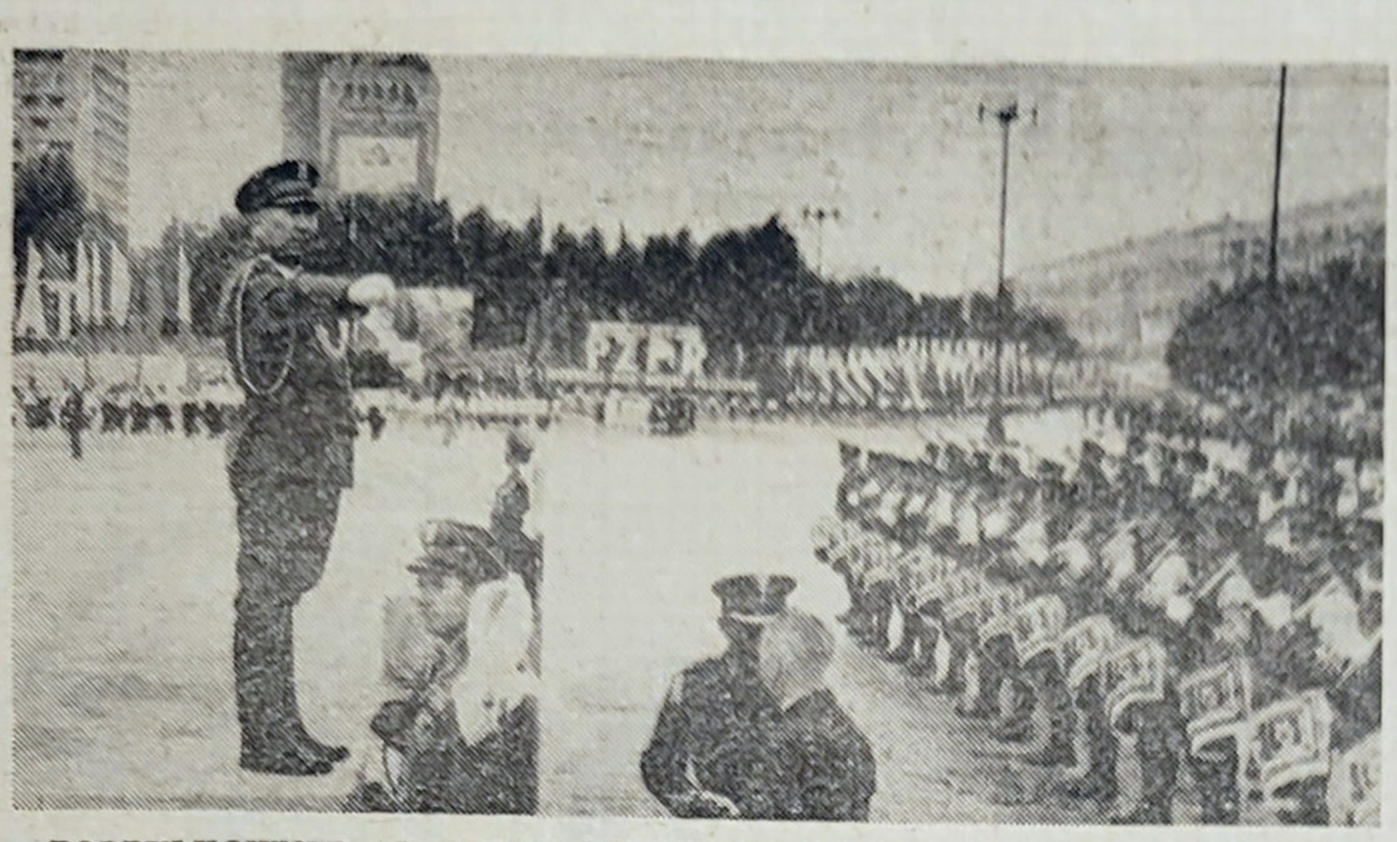

PODPUŁKOWNIK ALBRECHT LISZOK już 43 lata nosi mundur. Miał 14 lat, kiedy w 1927 roku wstąpił jako elew do Podhalańskiej Orkiestry Wojskowej w Cieszynie. Swoją karierę kapelmistrza zaczynał od werbla.

Podpułkownik kapelmistrz Liszok wśród licznych medali posiada również Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski. Na podium — podpułkownik Liszok dyryguje orkiestrą wojskową w czasie defilady 25-lecia naszej ojczyzny.

KARABIN I BATUTA

C.d. ze str. 1

parzyły nam wargi. Ludność, której w rozbitym mieście nie było wiele, biła nam brawa. Dorośli i dzieci stali wśród gruzów i płakali. A myśmy grali niezłomnej Warszawie starą „Warszawiankę". A po defiladzie trzeba było zapakować dywizyjną aptekę i instrumenty muzyczne do skrzyń, przygotować sprzęt sanitarny, i w drogę. Wojna jeszcze trwała. Po trzech dniach ruszyliśmy na Włocławek, Bydgoszcz, Więcbark, Złotów, Jastrowie...

Karabiny i nosze

W CZASIE WALK o Wał Pomorski, orkiestra kapelmistrza Liszoka zajęła zagubioną w lasach leśniczówkę na szpital polowy. Część orkiestrantów pełniła obowiązki sanitariuszy, część — stanowiła ochronę lazaretu. Tymczasem okrążeni przez wojska II Dywizji hitlerowcy usiłowali przedrzeć się przez las. Spora ich grupa natknęła się na leśniczówkę. Wywiązała się walka. Hitlerowców wzięto do niewoli. Wielu spośród członków orkiestry otrzymało wówczas odznaczenia.

— Najtrudniejszy jednak moment przeżyliśmy w czasie forsowania Odry — wspomina podpułkownik. — Był kwiecień, roztopy. Pierwszy rzut Dywizji forsował rzekę. Na zachodnim brzegu zostało wielu poległych i rannych. Szefem sztabu II batalionu była wówczas kobieta w stopniu chorążego. Nie pamiętam jej nazwiska. Szalenie energiczna. Ona poleciła nam udać się na drugi brzeg po rannych...

Nie było to proste. Niemcy atakowali z dołu i z góry. A my mieliśmy do dyspozycji płaskodenne barki bez motorów, na wiosła... Załadowaliśmy ciężko rannych. Kilku z nas przy wiosłach, kilku z automatami a tu „stukasy" atakują. My, zdrowi, przeżywamy momenty grozy, ale najgorzej z tymi, którzy leżą bezwładnie na dnie łodzi. Widzą nadlatujące samoloty, woda dokoła barek aż kipi od pocisków. Zdjęliśmy z siebie płaszcze, zarzuciliśmy je na rannych, zakryliśmy im oczy. Uspokoili się. Dotarliśmy szczęśliwie do brzegu, gdzie czekały samochody sanitarne...

Za wykonanie tego zadania chorąży Liszok otrzymał medal „Zasłużonym — na Polu Chwały".

Pociągiem pancernym — na koncert...

SKOŃCZYŁA SIĘ WOJNA. Nie wszędzie zapanował spokój. Na Rzeszowszczyźnie grasowały bandy ukraińskich faszystów. Bandyci mordowali ludzi, palili wsie.

W 1947 roku Albrecht Liszok prowadził w Sanoku orkiestrę dwóch pułków.

— Nie raz się zdarzyło, że do jakiejś jednostki, która akurat odpoczywała po walkach z bandami, docieraliśmy na koncert — pociągiem pancernym... Muszę dodać, że w 1945 roku odnalazła mnie żona. Odnalazła i postanowiła nie opuszczać mnie już w mojej żołnierskiej doli i niedoli. Jeździła więc ze mną w Bieszczady. Kiedyś, pamiętam, siedzimy z żoną w szoferce samochodu. Wracamy z koncertu. Ja z pepeszą na kolanach. U góry żołnierze z odbezpieczonymi erkaemami. W pewnym miejscu przejechać musimy przez San, bo most spalony. Jedziemy. W połowie rzeki silnik prychnął, stęknął i... zamilkł. Lasy, rzeka, my unieruchomieni. Otwieram drzwi. Wskakuję do wody. Sięga mi powyżej pasa.

— No i co — mówię do żołnierzy, którzy miny mają nietęgie. — Na co będziemy czekać...

Kilku zostało na platformie, żeby ubezpieczać. Swój automat dałem żonie. I szczęśliwie wypchnęliśmy samochód na brzeg...

Nie raz trzeba było batutę zamieniać na karabin, trąbkę na nosze... Na szczęście to już historia...

Jeżeli chodzi o historię, to trzeba dodać, że podpułkownik Albrecht Liszok, prowadził poza tą pierwszą historyczna defiladą w Warszawie niemal wszystkie wielkie wojskowe defilady. I tę w Poznaniu w lipcu 1957 roku, i w 1958 roku w Łodzi. Defiladę 15-lecia w Warszawie, gdzie dyrygował 1000-osobową orkiestrą, i w 1964 r. defiladę 20-lecia, i wielką paradę 1000-lecia w 1966 roku i oczywiście tę z okazji 25-lecia naszej ojczyzny, o której wspomniałam na początku reportażu.

WIESŁAWA MROCZEK

Foto: Archiwum

To jest właśnie orkiestra II Dywizji, która 19 stycznia 1945 roku prowadziła defiladę w wyzwolonej Warszawie. Na pierwszym planie — z batutą w ręku — kapelmistrz Albrecht Liszok, wówczas w stopniu chorążego.

Zdjęcie wykonane w listopadzie 1944 roku, w Rembertowie, gdzie w owym czasie zgrupowana była II Dywizja.

KOMUNIKATY SZTABU KAMPANII „ISKRA—70"

1. Jeszcze o rozwiązaniu konkursu pod hasłem LENIN

W związku z zapytaniami czytelników na temat prawidłowego rozwiązania konkursu pod hasłem LENIN wyjaśniamy:

Wieś, w której przebywał Włodzimierz Lenin na syberyjskim zesłaniu, nazywa się **Szuszenskoje.** Używana przez niektórych czytelników nazwa **Szuszeńskie** jest niezbyt szczęśliwym spolszczeniem tego rosyjskiego słowa.

Pierwszy numer „Iskry" został wydany w **Lipsku;** następnie była ona wydawana kolejno w **Monachium, Londynie** i **Genewie.**

ISKRA 70

Nazwa partii Lenina przyjęta w Statucie uchwalonym na zjeździe w 1903 roku w Londynie brzmiała: **Socjaldemokratyczna Partia Robotnicza Rosji.** Dopiero od 1912 roku po usunięciu z partii mieńszewików przyjęła ona nazwę: **Socjaldemokratyczna Partia Robotnicza Rosji (bolszewików).** Zwolenników Lenina w partii nazywano jednak bolszewikami już od 1903 roku.

Ponieważ pytania konkursowe nie wymagały w tych punktach precyzyjnego wyboru, jury uznało wszystkie wytłuszczone w tym wyjaśnieniu warianty odpowiedzi za prawidłowe. Tak też powinny je oceniać komisje turniejowe.

2. Nagroda specjalna w konkursie

LENINOWSKA NAGRODA POKOJU

Również w drugim konkursie „Swiata Młodych" zostanie rozlosowana **dodatkowo** nagroda specjalna:

— udział w 8-dniowym rejsie pionierskim po Dunaju.

Nadsyłanie rozwiązań do **11 lutego br.**

3. Trzeci konkurs „Świata Młodych"...

...pod hasłem **OJCZYZNA LENINA** zostanie ogłoszony w 14 nrze „Świata Młodych" **z dnia 17 lutego br.**

Dyrektor Wójcik: „Nowoczesność to specjalizacja"...

KIM BYĆ

PODAJ ŚCIANĘ

NIBY SZKOŁA JAK INNE. Tak jak wszędzie — czyste korytarze; w oknach kwiaty, jasne klasy. Ale wystarczy wyjść z głównego gmachu i przejść przez boisko, aby trafić do niskich, podobnych do hal fabrycznych budynków. To warsztaty.

Wchodzę do jednego z nich. W dużym, widnym pomieszczeniu uczniowie podzieleni na trzyosobowe grupy stawiają... różne rodzaje murów! Wszystko prawdziwe — cegły, zaprawa, kielnie. Chłopcy i dziewczęta starannie układają cegły, bo po położeniu kilku ich warstw popełnione wcześniej błędy wyjdą jak na dłoni.

O właśnie — do jednej z grup podchodzi instruktor. Mimo że ustawiony przed chwilą mur wydaje się idealnie równy, poziomica i pion wskazują co innego. Trzeba go więc rozebrać i zacząć od początku — na prawdziwej budowie nie można popełnić takiego błędu...

*

Szkoła, którą niedawno zwiedziłem, to jeden z większych ośrodków szkolenia budowlanych w naszym kraju. Mieści się na Śląsku, w Nowych Tychach. Są to w zasadzie trzy odrębne szkoły, tyle że w jednym kompleksie budynków:

Zasadnicza Szkoła Zawodowa — 2- lub 3-letnia (zależy to od wybranej specjalności.)

Technikum Budowlane 3-letnie. Przeznaczone jest dla absolwentów ZSZ. Umożliwia ono uzyskanie dyplomu technika tym, którzy ukończyli szkołę zasadniczą.

Technikum Budowlane 5-letnie. Przyjmuje się do tej szkoły tych, którzy ukończyli 8 klasę szkoły podstawowej (oczywiście po zdaniu egzaminu wstępnego.)

Ogółem uczy się tu 900 uczniów. I o dziwo, w tym więcej niż połowa dziewcząt.

Mówi dyrektor

WRAZ Z DYREKTOREM panem Kazimierzem Wójcikiem zwiedzam dalej szkołę.

— W żadnym wypadku — mówi pan Wójcik — nie można traktować pracy budowlanych: murarzy, instalatorów — jako pracy mechanicznej, która nie wymaga myślenia czy umiejętności samodzielnego podejmowania decyzji; pracy, którą może wykonywać każdy, nawet bez przygotowania. Nowoczesne budownictwo to zautomatyzowane maszyny budowlane, porfabrykaty, szkło i aluminium. O nowoczesności świadczy również fakt, że domy, które dawniej budowało się z cegły, będzie się po prostu ustawiało z segmentów. Jak z klocków. Zakupiono bowiem za granicą kilka „fabryk domów". Wykonane tam ściany pojedynczych mieszkań — łącznie z drzwiami i oknami — przewiezie się na budowę i zmontuje na miejscu. Zamiast tradycyjnego okrzyku „podaj cegłę" będzie się wołało „podaj ścianę" — żartuje dyrektor Wójcik.

Przechodzimy do **kuźni.** Tu praca jest ciężka i niebezpieczna. Kilku chłopców, w okularach zasłaniających pół twarzy, w grubych fartuchach — wykuwa na kowadle haki z rozżarzonych prętów. Będą one użyte na prawdziwej budowie.

Inna pracownia — **betoniarnia.** Uczniowie formują z betonu półfabrykaty. Znajdą one zastosowanie przy budowie przewodów kanalizacyjnych. Wlany do formy płynny beton zastyga tworząc dany mu kształt. O wiele łatwiej układać przewody kanalizacyjne z takich dużych segmentów, niż budować je z cegieł.

Chodząc po warsztatach zwróciłem uwagę na to, że większość robionych tu elementów ma zastosowanie praktyczne — właśnie na placach budów. Ale nie jest to jedyny kontakt uczniów tyskiej szkoły z budownictwem. W ramach zajęć odbywają oni też praktyki przy budowie „prawdziwych" domów. Niejeden z nowych budynków w Tychach został przez nich zbudowany.

Szkoła jest więc małym przedsiębiorstwem usługowym — **za prace uczniów wykonane w roku 1969 uzyskano ponad półtora miliona złotych!**

Nowoczesność = specjalizacja

ALE NAUKA zawodów budowlanych to nie tylko zajęcia praktyczne. To także obok obowiązujących tu jak w każdej szkole średniej przedmiotów ogólnokształcących, przedmioty zawodowe teoretyczne: technologia, materiałoznawstwo, maszynoznawstwo, projektowanie i wiele innych. Uczniowie starszych klas technikum mają w tej ostatniej dziedzinie niemałe osiągnięcia. Opracowali niedawno kompletny projekt sali gimnastycznej dla jednej ze szkół. Sami! Plany zostały zatwierdzone. Niedługo ruszy budowa!

Takich szkół budowlanych w kraju jest wiele. Według informacji Ministerstwa Oświaty i Szkolnictwa Wyższego miejsc jest dużo, więc kto poważnie myśli o nauce w takiej szkole, ma duże możliwości dostania się do jednej z nich. Trzeba mieć tylko dobre zdrowie — na przykład lęk przestrzeni czy słaby słuch nie pozwalają na pracę w budownictwie.

*

Dużo się buduje w Polsce, widać to na każdym kroku. A więc wszystkie zawody budowlane nadal mają przed sobą ogromne perspektywy rozwoju. Absolwenci szkół budowlanych są wprost rozchwytywani przez różne przedsiębiorstwa, a płace, jakie im się oferuje, dochodzą do **trzech tysięcy złotych miesięcznie.**

Na zakończenie chciałbym jeszcze raz powrócić do tego, co mi powiedział dyr. Wójcik:

— Warunkiem postępu technicznego jest specjalizacja. Na współczesnej budowie każdy się liczy, każdy jest niezbędny: inżynier i murarz, instalator i betoniarz. Murarz nie zastąpi inżyniera, a inżynier murarza. **Bo na współczesnej budowie nie ma pracowników „gorszych" i „lepszych", „fizycznych" i „umysłowych". Są tylko wysoko kwalifikowani specjaliści różnych branż.**

JERZY MICHALSKI

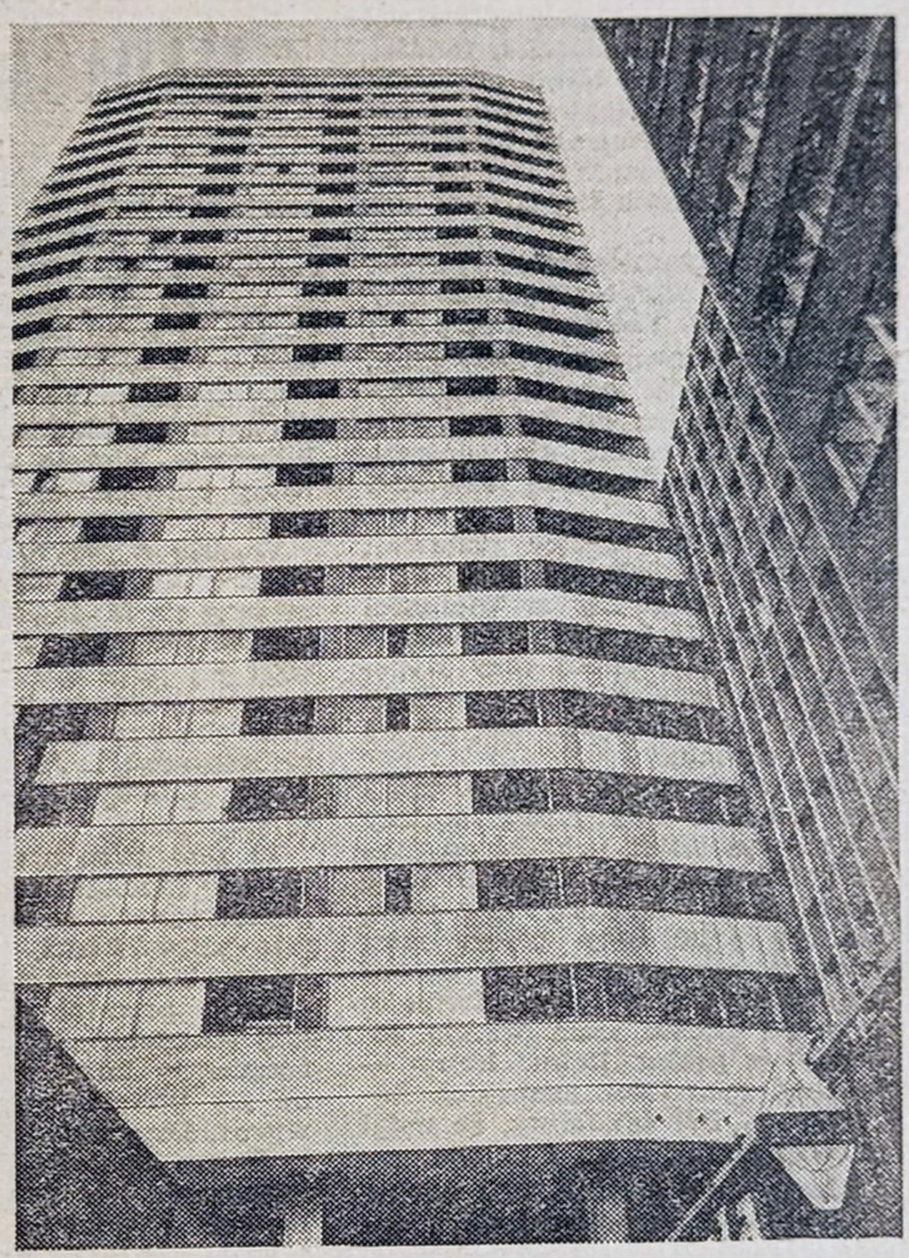

... Nowoczesne budownictwo to automatyczne maszyny budowlane, elementy prefabrykowane szkło i aluminium...

Foto: Teresa Stencel i Kajetan Adamowski

Rozmawiałem z kilkoma z nich. Ciekawiło mnie, dlaczego wybrali właśnie ten zawód...

MARYSIA:

— „Niektórzy twierdzą, że do szkół budowlanych nadają się tylko chłopcy. To jest niesprawiedliwe. U nas w szkole dziewczęta dają sobie świetnie radę. Niektóre moje koleżanki poszły do „ogólniaka"... żeby potem pracować w biurze! Ale ja wolę budowę. To jest dla mnie przygoda! W biurze przepisywałabym papierki, a ja nie znoszę nudów."

PIOTR:

— „Jeśli chłopak chce najszybciej zdobyć zawód, najlepiej zacząć od ZSZ. Po 3 latach ma się konkretny fach, CO NIE OZNACZA ZAKOŃCZENIA NAUKI. Mogę przecież później skończyć 3-letnie technikum dzienne lub wieczorowe dla pracujących. Jeżeli po uzyskaniu dyplomu technika chcę się dalej uczyć — mogę zdawać na Politechnikę".

TOMEK:

— „Zresztą możliwość podjęcia dalszej nauki to teraz konieczność. Trzeba ciągle podnosić swoje kwalifikacje. Trzeba sobie powiedzieć: Mimo że teraz uczę się w szkole zasadniczej, po jej skończeniu będę się starał kontynuować naukę."

GRZEGORZ:

— „Czy budownictwo może być pasją, zamiłowaniem? Na pewno. Kiedy idę po ulicach mojego miasta i widzę nowe domy, mogę powiedzieć: te domy też ja budowałem, ja włożyłem w nie swoją pracę. A to na pewno daje satysfakcję."

Radzą Wam uczniowie tyskiej szkoły:

Oto zawody, które można zdobyć w zasadniczych szkołach zawodowych budowlanych:

— murarz, murarz pieców przemysłowych, montażysta budowlany, betoniarz-zbrojarz, betoniarz prefabrykowanych elementów budownictwa, zdun, sztukator, monter izolacji budowlanych, monter instalacji chemo-odpornych, dekarz-blacharz, monter nawierzchni drogowych, asfalciarz, malarz, konstruktor przewodów kominowych, cieśla budowlany.

W technikum 5-letnim, po ukończeniu 8 klasy możecie zdobyć zawód technika:

— dokumentacji technicznej, obsługi maszyn budowlanych, budownictwa ogólnego, budowy dróg i mostów kołowych i kolejowych, budownictwa wodnego, technologii wody.

Technikum 3-letnie, po ZSZ, daje tytuł technika:

— budownictwa ogólnego, budownictwa wiejskiego, budownictwa regionalnego, konstrukcji stalowych w budownictwie, urządzeń sanitarnych, maszyn budowlanych.

W wielu szkołach znajdują się internaty umożliwiające naukę uczniom spoza miejscowości, w której szkoła się znajduje. Możliwe jest też otrzymanie stypendium, jest to oczywiście uzależnione sytuacją materialną ucznia i jego postępami w nauce. (j. m.)

NASZĄ PLANETĘ zamieszkują najprzeróżniejsze zwierzęta. Jest ich setki tysięcy gatunków. Ten ogromny „ogród zoologiczny" jest dziś w większości poznany i zbadany, chociaż często się zdarza, iż znamy jedynie zewnętrzny wygląd poszczególnych przedstawicieli ziemskiej fauny. Odkrywanie nowych, nieznanych zwierząt trwa już całe tysiąclecia, ale największych odkryć dokonano nie tak dawno.

Dziś większość zwierząt, szczególnie tych dużych, znamy z ogrodów zoologicznych, z filmów, zdjęć, z książek. Nie dziwi nas długa szyja żyrafy, garb wielbłąda, trąba słonia, narośl nosowa ryby-piły, pasiasta skóra okapi lub biało-czarny „smoking" pingwinów. Przyzwyczailiśmy się do ich wyglądu, jak do czegoś naturalnego. Dawniej tak nie było. Najczęściej o zwierzętach, których nie znano, opowiadano niestworzone rzeczy, nazywając je potworami, demonami, diabłami pożerającymi wszystko i wszystkich. Zresztą i dziś również krąży niemało niesamowitych opowieści o człowieku-śniegu, o wężach morskich... Tymczasem prawda o zwierzętach jest zupełnie inna.

Przeczytacie na tej stronie kilka opowieści o ludziach, którzy, jako jedni z pierwszych Europejczyków, zetknęli się z nowymi, nie znanymi na naszym kontynencie zwierzętami.

Materiały zaczerpnąłem z bardzo interesujących książek: „Na tropie nieznanych zwierząt" Bernarda Heuvelmansa oraz „Śladami Noego" Herberta Wendta.

ST. BOROWIECKI

Zobaczyli po raz pierwszy NIEZWYKŁE ZWIERZĘ...

ŻYRAFA - wybryk natury?

C.d. ze str. 1

Obraz pana Melchiora wywołał wśród ówczesnego społeczeństwa zachodniej Europy ogromne podniecenie i zamieszanie. Spośród wszystkich, zarówno istniejących, jak i nie istniejących potworów, żyrafa wydawała się najbardziej niewiarygodnym i niesamowitym wybrykiem natury. W dodatku to olbrzymie i dziwne zwierzę najwidoczniej odgrywało dość osobliwą rolę u wrogów Zachodu — Turków, Mameluków, Maurów i Saracenów, skoro Koran określił je mianem „serafe" czyli „śliczna". Wschodni poeci przyrównywali oczy żyrafy, ocienione długimi rzęsami, do oczu ukochanej kobiety. Wszystko to stanowiło dla ludzi Zachodu wystarczający powód, aby nieufnym okiem spoglądać na tę zjawę o długaśnej szyi.

Uważano wówczas w Europie żyrafę za bardzo groźnego potwora, chociaż nie wiedziano, czy jest ona bliższa wielbłądowi, czy panterze. Próbowano nawet wykorzystać ją do walk na arenie, podobnie jak to czyniono ze lwami i bykami. Ponieważ żyrafa, zamiast okazać się groźnym przeciwnikiem, na widok lwa drżała ze strachu, wkrótce o cudacznym zwierzaku zupełnie zapomniano.

Żyrafę „odkryto" w Europie po raz drugi w 1827 roku, gdy dwa żywe okazy dotarły statkiem z Kairu do Paryża i Londynu. Wśród ludności obydwu miast zapanował istny szał żyrafowy. Nawet po latach prawdziwie światowe damy nosiły modne ubiory i fryzury „a la giraffe".

Oczywiście nikt wówczas nie pamiętał, że przed z górą 200 laty przyjęto żyrafę w Europie jako dziwne podejrzane monstrum, prawdziwy wybryk natury.

WIELKI PTAK Z MADAGASKARU

ADMIRAŁ Etienne de Flacourt wydał w 1658 roku, po długoletnim pobycie na Madaskarze, książkę pt. „Historia wielkiej wyspy Madagaskaru". Flacourt podał w niej mnóstwo dokładnych wiadomości o faunie, tak odmiennej od fauny afrykańskiej. Wielu zoologów nie wierzyło opisom admirała, biorąc je za wymysł podróżnika. Dopiero po stuleciach okazało się, iż były one prawdziwe.

Najwięcej zamieszania wywołał opis ptaków zamieszkujących lasy Madagaskaru. Flacourt tak pisał:

„Jest tu vouroupatra, duży ptak, znany plemieniu Ampatrów. Składa jaja podobne do jaj strusich; aby zaś ich ludzie nie znaleźli, wyszukuje najbardziej ustronne miejsca"...

Późniejsi podróżnicy podawali dokładniejsze, ale bardziej fantastyczne szczegóły o wielkości ptaka. Mówili, że skorupy olbrzymich jego jaj, osiem razy większych od strusich, używane były przez krajowców jako baryłki na wodę do picia.

Oczywiście nikt prawie temu nie wierzył. Już struś, mający 2,5 m wysokości, uchodzi za ptaka potwornie dużego. Jakich więc rozmiarów musiałby być ptak, którego jaja były osiem razy większe od jaj strusia? Uczeni przypuszczali, że opowiadania te były po prostu inną wersją legendy o ptaku Roku, który — według opowieści arabskich żeglarzy — był tak silny, że mógł porwać statek wraz z załogą.

Marco Polo pisał w XIII wieku, że Kubłaj-chan pokazał mu pióra ptasie długości 90 piędzi (około 20 m) oraz dwa jaja zadziwiającej wielkości. Marco Polo dodaje, że jego zdaniem ptak Rok pochodzi „z wysp położonych na południe od Madagaskaru".

Tymczasem po blisko dwóch wiekach od ukazania się książki Flacourta, zaczęto znajdować dowody potwierdzające opis admirała.

W 1832 r. przyrodnik francuski Wiktor Sganzin widział na własne oczy na Madagaskarze skorupę ogromnego jaja. Krajowcy używali jej jako miski i nie chcieli sprzedać. Sporządził więc rysunek skorupy i posłał znanemu ornitologowi, Juliuszowi Werreaux, przebywającemu wówczas w Capetown.

W 1851 roku uznano oficjalnie, że na Madagaskarze żyje ptak gigantycznych rozmiarów. Nastąpiło to wówczas, gdy kapitan francuskiej marynarki handlowej Abadie przesłał w darze Paryskiej Akademii Nauk trzy jaja i fragmenty kości ptaka, znalezione na południowym zachodzie wyspy. Dwa największe jaja miały 32 cm długości i 22 szerokości. Pojemność ich wynosiła niemal 8 litrów! Zawartość jaja równała się więc 6 jajom strusim, a 148 kurzym. Z jednego takiego jaja można więc było zrobić jajecznicę dla 70 osób!

Niestety, w połowie XIX wieku ptaków-olbrzymów nie było już na Madagaskarze. Wyginęły one bezpowrotnie. Ich wygląd odtworzono na podstawie znalezionych kości. Jeden z takich zrekonstruowanych szkieletów znajduje się w Paryskim Muzeum. Ma on 2,68 m wysokości. Na podstawie specjalnych badań ornitolodzy doszli do wniosku, że ptak ten ważył około 440 kg. Był więc najcięższy ze wszystkich znanych ptaków, chociaż nie najwyższy.

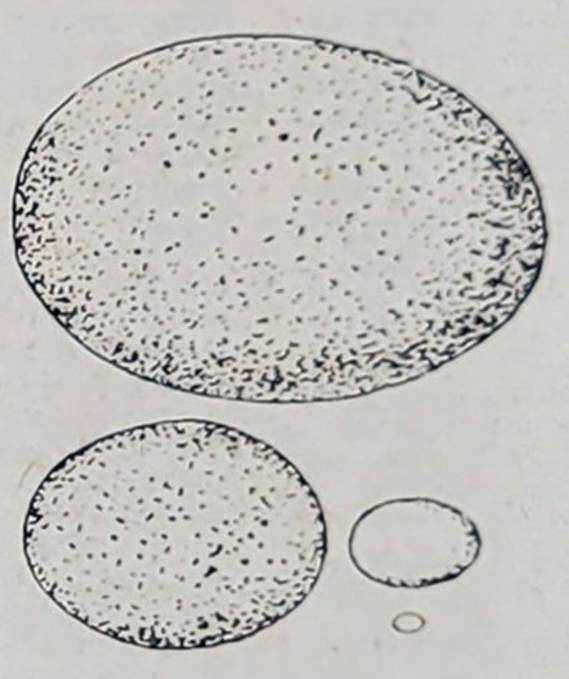

Oto jak wygląda olbrzymie jajo nie istniejącego dziś ptaka z Madagaskaru (górne) w porównaniu do wielkości jaja strusia, kury i kolibra.

„MAŁY CZŁOWIEK"

WIELE NAPISANO książek i artykułów o tajemniczym śnieżnym człowieku — Yeti. Równie zagadkowa jest historia o „małym człowieku", czyli „orang pendek" — jak nazywają to zwierzę krajowcy na Sumatrze.

Istnieje sporo opisów „małego człowieka" przez ludzi, którzy go widzieli na własne oczy lub słyszeli o nim od wiarygodnych świadków. Przytoczę tu tylko jeden, podany przez osadnika holenderskiego van Herwaardena.

Wygląd zewnętrzny „orang pendek", wykonany na podstawie opisu naocznych świadków „małego człowieka".

„W październiku 1923 roku znalazłem się na wyspie Poeloe Rimanu... Przez kilka dni od rana do wieczora tropiłem dziki w małej zalesionej części wyspy, niestety bez powodzenia, mimo że znalazłem mnóstwo śladów.

Wreszcie postanowiłem spróbować po raz ostatni i zaczaiłem się w dobrze osłoniętym miejscu. Upłynęła godzina. Rzuciwszy przypadkiem spojrzenie za siebie, zauważyłem ruch na samotnie stojącym drzewie...

Postanowiłem zbadać przyczynę tego ruchu. Zrazu nic nie zauważyłem. Dopiero obszedłszy drzewo dookoła, dostrzegłem na gałęzi ciemne, włochate stworze-

„SMOKI" Z KOMODO

W 1910 ROKU dyrektorem ogrodu zoologicznego w Buitenzorgu (Indonezja) był major Ouwens. W tym czasie do dyrektora dochodziły słuchy, jakoby na wyspie Komodo żyły zagadkowe zwierzęta nazywane „boeaja-darat". Komodo, znaczy „wyspa szczurów", aczkolwiek aż do przybycia eurojejskich okrętów nie było tu ani jednego szczura Boeaja-darat, według opowieści Malajczyków, miał pożerać małe jelenie, dzikie świnie, a nawet ludzi. Ouwens postanowił wreszcie zbadać tę sprawę. Zwrócił się w tym celu do gubernatora wyspy Flores, pan van Steyn, prosząc go, aby przy najbliższej inspekcji na Komodo zbadał również prawdziwość pogłosek o tym potworze.

Ponieważ gubernator interesował się zoologią, więc z entuzjazmem zabrał się do rozszyfrowania tajemnicy. Kiedy w 1912 roku przybył na Komodo, zaraz na brzegu wyspy poznał dwóch holenderskich poławiaczy pereł Aldegona i Kocka. Ci dwaj panowie opowiedzieli gubernatorowi, iż rzeczywiście na wyspie żyją jakieś olbrzymie jaszczurki. Co więcej, sami, w towarzystwie Malajczyków, upolowali kilka sztuk tych „smoków". Według opowiadania poławiaczy pereł, niektóre okazy miały 6 do 7 metrów długości!

Wkrótce sam gubernator zorganizował wyprawę w głąb wyspy. Zabrał fuzję i wraz ze swymi Malajczykami wyruszył na spotkanie ze „smokiem"

Ekspedycja bez trudu natknęła się na ślad zwierzęcia, który prowadził do skalnej pieczary. Wszelkie jednak próby zabicia „smoka" lub schwytania go żywcem rozbiły się z powodu... strachu. Malajczycy, przy najlżejszym szmerze dochodzącym z jaskini, natychmiast brali nogi za pas.

Udało się natomiast Steynowi ustrzelić mniejszy okaz o długości 2,25 m. Nie wielkość jednak upolowanego zwierzęcia była najważniejsza. Gubernator stwierdził, iż pogłoski o „smoku" nie były zmyślone.

W późniejszych latach ustalono: największe okazy dochodzą do 4 metrów długości! „Smok" z Komodo okazał się jednak największą jaszczurką świata, nazwanym przez Ouwensa waranem olbrzymim (Varanus komodoensis).

Waran z Komodo nie jest wcale pożeraczem świń, jeleni a tym bardziej ludzi. Żywi się małymi kręgowcami i jajami innych gadów.

Życie jest wszędzie

6 CZERWCA 1930 roku. Do stalowej kuli, ochrzczonej nazwą „Batysfera" wchodzi dwóch amerykańskich badaczy — Barton i Beebe. Zamykają stalowy właz, a w kilka minut później „Batysfera" opuszcza się na stalowej linie w głębiny oceanu w pobliżu Bermudów

Pierwsze zanurzenie — 240 m pod poziomem morza. Po raz pierwszy dwu ludzi ujrzało na własne oczy przedziwne życie głębin oceanu. Później — nastąpiły kolejne, coraz głębsze zanurzenia. Dwaj śmiałkowie zaczęli się powoli oswajać z tym nowym światem.

We wrześniu 1932 roku Beebe i Barton osiągnęli w czasie słynnej wyprawy (transmitowanej przez radio) głębokość blisko 700 m! Było to pierwsze zanurzenie poniżej granicy, gdzie nie dochodzi już żadne światło widoczne ludzkimi oczami. Świat był tu wprost smoliście czarny.

„Poniżej tego poziomu już od dwu miliardów lat nie było ani dnia, ani nocy, ani lata, ani zimy, nie było upływu czasu — aż do chwili, kiedyśmy go teraz po raz pierwszy mierzyli..." — donosili z głębin morza badacze.

Barton i Beebe natrafili wówczas na zupełnie nowe gatunki ryb, olbrzymie samice nogopłetwych wędkarzy głębinowych o długości 60 cm, potężnym pysku i uzębieniu, szerokie i grube, z długim wyrostkiem na czubku „głowy" oraz na „nietykalną rybę batysfery" — jak nazwał ją później Beebe — wielkookie stworzenie, naszpikowane niezliczonymi chwytnymi zębami, o ciele zaopatrzonym w szereg błękitnych świateł, a ponadto kierujące dwiema, na długich wyrostkach umocowanymi,

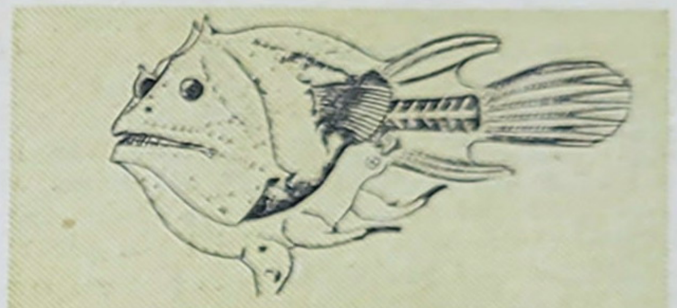

Wyprawy w głąb oceanów wydobyły na światło dzienne tak osobliwe zwierzęta, jak samicę nogopłetwych wędkarzy głębinowych z przyrosłymi do jej ciała trzema karłowatymi samcami.

błękitnawoczerwonymi latarniami. „Żaden astronauta, patrzący po raz pierwszy na krajobraz Marsa — wyznał później Beebe — nie mógłby być bardziej podekscytowany ode mnie, spoglądającego na ten widok".

W następnych latach trwał wyścig w osiąganiu coraz większych głębokości. W tej szlachetnej rywalizacji znalazł się również słynny badacz atmosfery — August Piccard. Padały rekordy — 3000 m, 4000 m, aż wreszcie osiągnięto dno największej głębi, tzw. rowu filipińskiego, wynoszącego około 11 tys. metrów! Okazało się, iż nawet w największych głębinach, gdzie ciśnienie wody wynosi dziesiątki ton, istnieje życie. Ten niezwykły świat, niezwykłych wprost ryb, długo będzie jeszcze badany nim poznamy go tak, jak na powierzchni naszej planety.

nie, przednią częścią ciała przyciśnięte do drzewa. Sprawiało wrażenie przestraszonego, zauważywszy, że jest śledzone, usiłowało się ukryć.

Musiał to być okaz „orang pendek". Myśliwi zrozumieją moje podniecenie w tym momencie. Początkowo po prostu przyglądałem się stworzeniu, które przylgnęło nieruchomo do drzewa.

Nie wiedziałem, co robić. Odłożyłem strzelbę i począłem zbliżać się do zwierzęcia. Wdrapałem się zaledwie na wysokość 1—1,2 m, gdy zwierzę drgnęło, unosząc nieco gałąź. Zauważyłem włosy, czoło i parę wpatrzonych we mnie oczu. Stworzenie poruszało się najpierw z wolna i ostrożnie, lecz gdy dojrzało mnie wyraźnie, poczęło drżeć na całym ciele. By przyjrzeć mu się lepiej, zsunąłem się z powrotem na ziemię.

Istota była również owłosiona z przodu, jednak kolor sierści był tutaj nieco jaśniejszy. Czarne włosy opadały poniżej łopatek, prawie do pasa. Były grube i szorstkie. Dolna część twarzy była zakończona ostrzej niż u człowieka. Brązowa twarz była prawie pozbawiona włosów, czoło wydawało się wysokie. Bardzo krzaczaste brwi kolorem nie różniły się od włosów. Oczy poruszały się — były ciemne, bardzo żywe i podobne do ludzkich. Nos szeroki, o dość dużych nozdrzach, lecz mimo to całkiem zgrabny. Wargi — zwyczajne, jednak otwarte usta stworzenia były nienormalnie szerokie. Od czasu do czasu przy nerwowym drganiu ust można było dostrzec duże kły, znacznie większe od ludzkich... Broda wydawała mi się nieco cofnięta. Przez krótką chwilę dostrzegłem prawe ucho, zupełnie jak ludzkie. Dojrzałem też, że ręce stworzenia były z wierzchu lekko owłosione. W wyprostowanej postawie ramiona sięgałyby nieco powyżej kolan — były więc długie. Nogi wydawały mi się krótkie. Nie widziałem całych stóp, dostrzegłem tylko palce nóg, całkiem normalnego kształtu. Okaz był samicą wysokości około 1,50 m..."

Pan Herwaarden opisuje dalej, jak ponownie próbował wdrapać się na drzewo, by dosięgnąć stworzenie, niestety wówczas „mały człowiek" zeskoczył z gałęzi i zaczął uciekać do lasu. Pan Herwaarden rzucił się w pogoń i już miał wystrzelić, gdy nagle owładnęło nim uczucie, iż może popełnić morderstwo.

Tak więc do dziś, oprócz opisów oraz odlewów śladów „orang pendek", naukowcy nie posiadają w ręku żadnych innych dowodów. A to stanowczo mało, by uznać istnienie „małego człowieka" — będącego ni to małpą, ni to człowiekiem — za absolutnie pewne.

ŚNIEŻNY LABIRYNT

Toniemy w śniegu, proszę państwa! Zaspy na drogach, zwały śniegu na ulicach miast...

Oprócz kłopotów, jakich tegoroczna zima dostarcza, może być i sporo uciechy, jeśli śnieg wykorzystamy do zimowych zabaw i gier.

Biało jest nie tylko u nas! Moskwiczanie bardzo lubią śnieg, toteż na terenie Wystawy Osiągnięć Gospodarczych ZSRR zbudowali cały labirynt ścieżek, przeznaczonych dla najmłodszych gości Wystawy — dzieci. Spacer po takim labiryncie staje się egzotyczną wyprawą do Krainy Zimy.

Obok ogromny bałwan, który aż kusi, żeby się przy nim zatrzymać i zrobić pamiątkowe zdjęcie. A potem na saneczki! Tylko szaliki trzeba poprawić, aby się nie przeziębić.

Koło jednej ze stacji moskiewskiego metra stoi cała śnieżna budowla mająca kształt głowy średniowiecznego rycerza. Do jej wnętrza może się zmieścić cała gromada razem z saneczkami i psem — towarzyszem zabawy.

Foto: CAF

ANATOLIJ ALEKSIN

BARDZO STRASZNA HISTORIA

Opowieść kryminalna, którą napisał Alik Dotkin

ROZDZIAŁ XI

w którym słyszymy różne głosy oraz tupot pogoni

JAKIM CUDEM tego dokonałeś? Jak ci się to udało? Co zrobiłeś? Jak? Mówże!

— Ważny jest rezultat — odpowiadałem na wszystkie pytania moich przyjaciół. — Siedzi Bratanek w piwnicy? Siedzi. Ryczy? Ryczy. Reszta, jak mówią, nie ma znaczenia.

— Zwycięzców nikt nie sądzi. I nie indaguje — wypowiedział się Nieboszczyk.

Dosyć miał pytań i zachwytów nade mną. Jakkolwiek nasze życzenia nie były tym razem zgodne, rzekłem:

— Po cóż spoglądać wstecz? Lepiej patrzmy przed siebie.

— Słyszałem, że w wojsku przeprowadza się zawsze analizę zwycięskich operacji — wtrącił Dativus. — W ten sposób inni się uczą.

Nie miałem ochoty analizować publicznie swojej operacji. Bądź co bądź użyłem wobec Bratanka podstępu... A podstęp zwykle robi mniej korzystne wrażenie, niż odwaga wykazana w otwartej walce. „Gdyby słyszeli na własne uszy pogróżki Bratanka, że wsadzi mnie z powrotem do piwnicy, jak śledzia do beczki, wtedy by zrozumieli, że wykazałem nie tylko przytomność umysłu, ale i męstwo. Ale nie słyszeli i już nie usłyszą. Niechże więc głowią się sami. A nuż Natasza pomyśli, że Bratanek stchórzył, przestraszył się mnie. Nie będę zaprzeczał. Niestety, raczej wątpliwe, żeby tak pomyślała..."

I wbrew własnym słowom o nieoglądaniu się wstecz, zapragnąłem nagle, by usłyszeli ryki Bratanka, przekonali się, jakiego zwyciężyłem przeciwnika.

Chociaż pilno nam było do telefonu, zaproponowałem:

— Zejdźmy tam na chwilę.

Zeszliśmy wszyscy z wyjątkiem Gleba... On, który starał się pierwszy wypełniać moje rozkazy, a nawet uprzedzać je, jak Mironowa, tym razem udał, że nie słyszy. Nie chciałem wywierać nacisku.

Może bał się, że i jego zamknę w piwnicy. A może uważał, że nie ma prawa szydzić z Bratanka, który jeszcze niedawno był jego wiernym sojusznikiem? Współwinowajcą w przestępstwie. „Po co Gleb dzwonił do Bratanka? Dlaczego kazał mu zamknąć nas w piwnicy?"

Podeszliśmy do drzwi obitych zardzewiałą blachą.

— No, co słychać? — zawołałem. — Humor dopisuje?

Bratanek stał już za drzwiami, jak tygrys za żelaznymi prętami klatki.

— Otwie-ra-aj! — zaryczał. — Otwieraj!

Wszyscy odskoczyli w popłochu. Tylko ja się nie ruszyłem. Nawet nie drgnąłem. I powiedziałem ze źle ukrywaną kpiną:

— My uwolniliśmy się własnym przemysłem. Bez pańskiej pomocy. Niech pan też się postara. Wykaże inicjatywę, pomysłowość. Jak pan trochę schudnie, to może przeciśnie się pan tamtymi drzwiami, którymi...

— R-roz-walę cały dom! — wrzeszczał Bratanek.

— Ciocia bardzo się zmartwi — odparłem spokojnie. Po czym zwróciłem się do moich przyjaciół: — Proszę was na górę. Do telefonu. Chodźmy.

Weszliśmy do pokoju, który niegdyś G. Borodajew wynajmował u ciotki Bratanka. Pokój łączył się z tarasem wychodzącym na ogród.

Telefonu nigdzie nie dostrzegłem. Wszystko we mnie zamarło — czyżby moje starania okazały się daremne?

Ale już w następnej sekundzie odżyłem. Gleb wziął ze stołu stary damski szlafrok, odsłaniając ukryty pod nim aparat.

— Czy to specjalnie? — zapytałem.

— Tak, ciotka się boi... Jeżeli sąsiedzi z innych willi... Będą ciągle nachodzić... Chowa, żeby się nie dowiedzieli... To przecież bezpośredni.

— W jakim sensie?

— Łączy bezpośrednio z miastem... Taki tylko dziadkowi... Przez wdzięczność.

Na zmatowiałej płytce przymocowanej do aparatu ujrzałem napis: „G. Borodajewowi od wdzięcznych czytelników".

Obok leżała kartka z numerami telefonów: milicji, pogotowia ratunkowego, straży pożarnej. Był tam jeszcze jakiś numer.

— A ten? — spytałem.

— Ciotki Bratanka... Ona jest w mieście. Bratanek do niej dzwoni. Jeśli trzeba o czymś zawiadomić...

— Rozumiem.

Śmiałym gestem podniosłem słuchawkę do ucha — odezwał się sygnał. Numer Nataszy znałem na pamięć. Ale ona o tym nie wiedziała. I za nic nie chciałem, żeby się domyśliła — przecież niemal od pierwszej klasy dzwoniłem do niej i długo dyszałem w słuchawkę. Dopiero później przestałem dyszeć.

— Jaki jest twój numer, Nataszo?

Gdy go wykręciłem, odezwał się głos kobiecy. Bardzo znajomy. Dawniej, usłyszawszy go, natychmiast kładłem słuchawkę. Teraz podałem ją Nataszy.

— Chyba twoja mama.

— Mamulko — powiedziała Natasza tak czule, aż mnie zapiekło w sercu z zazdrości. Gdyby wymówiła takim głosem „Alik", oddałbym jej wszystko, co mam najdroższego: nowy rower (dwukołowy) i długopis, i bilard z metalowymi kulkami.

— Nie, nie z miasta. Jesteśmy jeszcze w willi. Spóźniliśmy się na pociąg. Wszystko w porządku. Nie martw się. Będę w domu o jedenastej. Poproś Annę Piotrownę, żeby została dłużej. Niech posiedzi z tobą, jeśli może, dopóki nie wrócę. Poprosisz? Słowo? Tak, wszystko dobrze. Jesteśmy teraz w willi. Nie, nie na dworze. Bądź spokojna. Po prostu uciekł nam elektryczny. Pa, całuję.

„Ja takich słów nigdy od niej nie usłyszę" — pomyślałem ze źle ukrywaną melancholią.

I nagle usłyszałem:

— Dziękuję ci, Aliku.

— Ależ proszę bardzo. Drobiazg... — i zacząłem gwałtownie kasłać, żeby ukryć głośne łomotanie serca.

Podniosłem słuchawkę i wręczyłem Mironowej: kobietom należało się pierwszeństwo.

— Ile minut mogę rozmawiać?

— Ile chcesz. Przecież to nie automat.

— Czy to nie jasne? — zaserwował pytanko Nieboszczyk.

— Co? — spytała Mironowa.

— Czy to nie jasne, że inni rodzice też się denerwują? I że nie powinno się przedłużać rozmowy? Czy to nie jasne?...

Znów zaczął swoją ulubioną metodę. Mironowa szybko wykręciła numer.

— Walentyn Nikołajewicz? — zawołała.

— Chyba mówisz...

— Z daleka.

— Bardzo źle...

— Słychać. Dlatego, że jestem za miastem.

— Czy poprosić...

— Mamę. Albo tatę. Albo brata. Albo siostrę.

Zrozumiałem, że Mironowa lubi podpowiadać nie tylko nauczycielom, ale również swoim współlokatorom. Wszystkim starszym od niej. I ważniejszym.

Ledwie Mironowa odeszła od aparatu, Nieboszczyk nie czekając na moje zaproszenie chwycił za słuchawkę.

Numer był zajęty.

— Czy to nie można w innych godzinach? Kto słyszał tak długo wisieć przy telefonie? — wyrzekł. I nagle zawołał: — To ja, mamusiu. Telefon był tyle czasu zajęty... Dzwoniłaś do dyżurnego? Jakiego? Aha... Do szpitala? I do kostnicy?

Mama tak rozpaczała, jakby Nieboszczyk był już naprawdę nieboszczykiem.

Następnie wspomniał coś o tym, że jesteśmy w willi sami, to znaczy, że nie ma nikogo z dorosłych. Wtedy głos mamy stał się tak wyraźny, jakby mówiła nie z miasta, lecz z sąsiedniej willi. Nieboszczyk tłumaczył:

— Ależ nie sami... Ninel nam pozwoliła.

— Cicho bądź. Ale masz długi język. — Szarpnąłem go za rękaw. Było już jednak za późno. Mama krzyczała, że nie po to urodziła Nieboszczyka, aby go stracić. Czy coś w tym rodzaju.

C.d.n.

Tłum. I. PIOTROWSKA
Rys. B. RUTKOWSKA

GNIEWKO syn rybaka

OD MIESIĄCA oglądacie na ekranach telewizorów nowy serial historyczno-przygodowy z sympatycznym i dzielnym bohaterem — Gniewkiem.

Gniewko jest poddanym króla Łokietka i wraz z nim walczy w obronie ojczyzny. Za zasługi, męstwo i patriotyzm zostaje pasowany na rycerza jego królewskiej mości. Zanim jednak dostąpił tego zaszczytu, przebył wiele trudów, nieraz znajdował się w niebezpieczeństwie i przeżył wiele przygód. Dziś przeczytajcie o tym, jak zrodził się pomysł opowieści o Gniewku i o tym, jak czuje się w „skórze" króla Łokietka jego odtwórca — aktor Stefan Śródka.

Opowiada autorka scenariusza Alina Korta:

— Dlaczego sięgnęłam po temat z czasów króla Łokietka? Łokietek pierwszy dostrzegł niebezpieczeństwo grożące Polsce ze strony Krzyżaków. Dążył do zjednoczenia ojczyzny i chciał uczynić Polskę silną i niezależną. Pierwszy pokonał Krzyżaków w zwycięskiej bitwie pod Płowcami, do której dziś nie przywiązuje się takiego znaczenia, jak do bitwy pod Grunwaldem, a przecież właśnie Płowce obaliły mit o niezwyciężoności Krzyżaków, obudziły świadomość i nadzieję Polaków, że można bić się zwycięsko. Wreszcie urzekła mnie sama postać króla Łokietka. Tego wiecznego tułacza, który kochał Polskę prawdziwie i który gotów był dla niej życie oddać. Tacy też byli jego ludzie, oddani mu i wierni. Dlatego o nich napisałam opowieść.

Współautorem telewizyjnego scenariusza jest historyk — adiunkt Wojskowego Instytutu Historycznego, pan Tadeusz Nowak, który dokonał wielkiej pracy zebrania faktów i historycznych materiałów z tamtego okresu.

— Dokumentacja naukowa musiała być opracowana bardzo szczegółowo i starannie. Badaliśmy nawet sarkofag Łokietka, liczne ryciny i płaskorzeźby, pozwalające ustalić, jak król i współcześni mu ludzie naprawdę wyglądali. Poza tym stroje, zwyczaje, domostwa, obejścia — wszystko trzeba było ściśle opracować według dawnych wzorów. Wymagało to wielu miesięcy pracy. Podjął się jej właśnie Tadeusz Nowak. Na podstawie zebranych historycznych faktów napisałam fabułę. Tak narodził się „Gniewko". Wyreżyserował go reż. Bogdan Poręba, a scenografię opracował Jerzy Skrzepiński.

A teraz oddajemy głos samemu „Królowi Łokietkowi" czyli Stefanowi Śródce.

— Propozycję zagrania króla Łokietka przyjąłem początkowo z wielkim zdumieniem, które wkrótce przerodziło się w ogromną radość. Co za cudowny traf! Proszę sobie wyobrazić, że Łokietek był zawsze moim ulubionym historycznym bohaterem. Ba! Utożsamiałem się z nim niejednokrotnie w czasie szkolnych zabaw z kolegami. Koledzy nawet mówili, że jestem do niego podobny. O moim fizycznym podobieństwie do Łokietka powiedzieli także realizatorzy filmu o „Gniewku". Podobno wizerunek Łokietka z sarkofagu jest identyczny z moją fizjonomią.

Opracowywałem tę rolę z pasją. Przeczytałem wiele publikacji i uzupełniałem swe wiadomości. Na nowo zacząłem żyć wymarzoną postacią z lat dziecięcych. To, że z takim osobistym zaangażowaniem wcieliłem się w filmowego bohatera, tłumaczę i tym, że... moje życie przypomina niego losy Łokietka. Choć w różnych okresach, podobny cel kierował naszym działaniem. Także ukrywałem się w lasach, biłem się z najeźdźcą i nawet wróg był ten sam. Za jego czasów Krzyżak, za moich hitlerowski faszysta.

Stefan Śródka jest jednym z nielicznych aktorów, który okupacyjne czasy przeżył w lasach lubelskich jako... partyzant. Był dowódcą oddziału. Nosił pseudonim „Ryś". Przez wiele miesięcy jego domem były lochy, lepianki leśne i schrony ze śniegu. Dziś jako „Król Łokietek" powrócił wraz z ekipą filmową w tamte dawne, znajome z wojny tereny. Tam bowiem kręcone były plenery do „Gniewka". Okoliczni chłopi poznawali Stefana Śródkę i witali go ze łzami wzruszenia.

ALICJA WIELGOŁAWSKA

W roli Gniewka występuje znany aktor warszawski Marek Perepeczko. Na zdjęciu widzimy go w jednej z dramatycznych scen bójki we młynie.

Aktor Stefan Śródka doskonale wcielił się w postać króla Łokietka (na zdjęciu w środku). Jest nawet łudząco do niego podobny jak wykazał wizerunek na sarkofagu. Z prawej Gniewko z małą kasztelanką Agnieszką.

Foto: Tomasz Ruszkowski

SPRÓBUJ ROZWIĄZAĆ

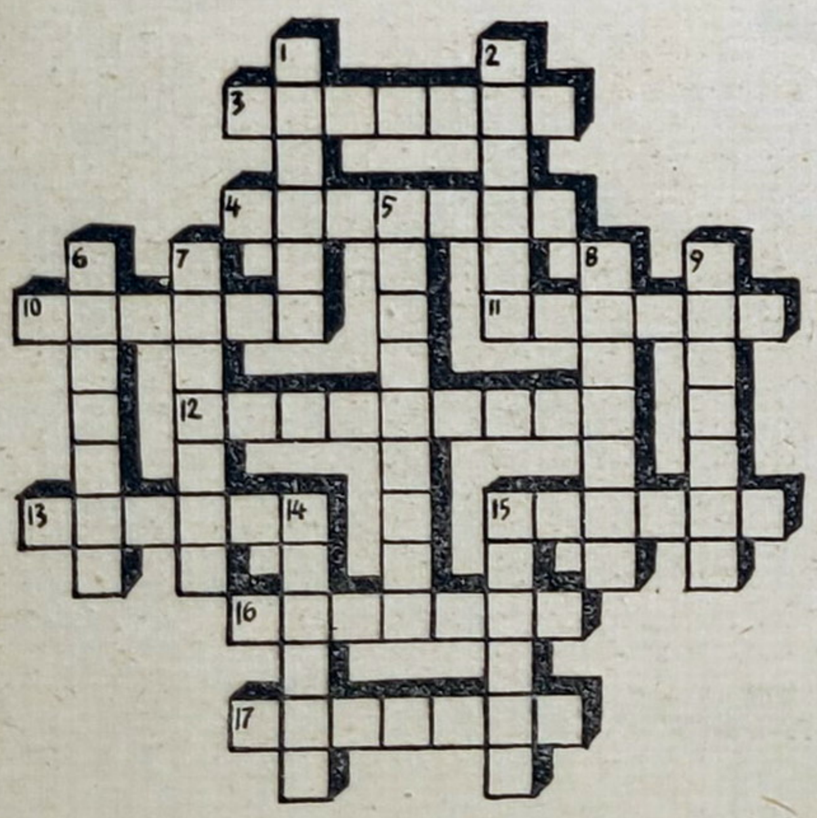

KRZYŻÓWKA

POZIOMO: 1 — naramienniki na mundurze wojskowym; 4 — pracuje przy brukowaniu ulicy; 10 jedna z republik ZSRR; 11 — hetman kozacki; 12 — przyrząd do mierzenia małych długości; 13 1/4 część garnca; 15 — duże naczynie do gotowania; 16 — specjalista w zawodzie drukarskim, odbija na tkaninach desenie; 17 — sprzęt sportowy do rzutów na odległość.

PIONOWO: 1 — miasto w południowej Grecji, państwo w starożytnej Grecji; 2 — duża ilość siana, słomy lub zboża ułożona w kształcie np. prostokąta; 5 — żywy, polski taniec ludowy; 6 — ma fryzjer; 7 — ubranie męskie, długie szamerowane; 8 — wklęsła forma do odlewania czcionek drukarskich; 9 — równina we wschodniej Attyce, bieg na 42,195 km, konkurencja olimpijska; 14 — drogocenna, dekoracyjna tkanina przetykana złotą i srebrną nitką, używana do dekoracji ścian (I przyp. l. m.); 15 — zjednoczenie przedsiębiorstw tej samej gałęzi produkcji celem opanowania rynku, trust.

Rozwiązania należy przysyłać w terminie dziesięciodniowym od daty ukazania się numeru z dopiskiem na karcie pocztowej: Spróbuj rozwiązać. Za trafne odpowiedzi będzie rozlosowanych 10 bonów książkowych po 20 złotych.

Rozwiązanie konikówki z numeru 5

Fragment wiersza J. Skokowskiego pt. „Moja Warszawa".

TY — KTÓRA BARYKADĄ BYŁAŚ
I KTÓRA WIODŁAŚ NAS DO ZWYCIĘSTW,
W KTÓREJ JEST NASZA KREW I SIŁA —
WARSZAWO — KOCHAM CIĘ NAD ŻYCIE!

Bony książkowe po 20 zł wylosowali: **Dorota Baranowska** — Warszawa 47; **Leokadia Czajka** — Czarna-Golemki 7; **Mirosław Domański** — Piastów; **Ryszard Kasperczyk** — Bojanowo; **Andrzej Kozak** — Słupsk; **Małgorzata Kochany** — Skawina; **Roman Markiewicz** — Gliwice; **Henryk Majkut** — Tuczempy 268; **Maria Prycz** — Bogdanów; **Elżbieta Szkuta** — Ełk.

„SWIAT MŁODYCH" — GAZETA HARCERSKA — ukazuje się we wtorki i piątki. REDAGUJE ZESPÓŁ. Red. nacz. JERZY MAJKA, tel. 21-15-61. Sekretarz redakcji — 28-25-48. Sekretariat administracji 21-15-61. Wydawnictwo „PRASA MŁODZIEŻOWA i SPORTOWA" RSW „Prasa" Warszawa, ul. Bagatela 14. Biuro ogłoszeń — W-wa, ul. Wspólna 61. Tel. 21-21-29. Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa", W-wa, Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna zł 4.00, kwartalna zł 12.00. Wpłaty przyjmują Urzędy Pocztowe i listonosze wiejscy do dnia 15 każdego miesiąca. Wpłat dokonywać również można na konto PKO Nr 1-6-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch" Warszawa, ul. Towarowa 28 do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, UL. MOKOTOWSKA 24.
Zam. 451 K-61

»JUMBO«

leci przez Atlantyk

31 GRUDNIA 1968 roku, wzniósł się w powietrze pierwszy na świecie radziecki samolot pasażerski — szybszy od dźwięku — TU—144. W kilka miesięcy później — 3 marca 1969 roku — odbył swój inauguracyjny lot — ponaddźwiękowiec pasażerski „Concorde". Te pierwsze dwa samoloty wywołały wielką rewolucję w komunikacji lotniczej. Przede wszystkim skróciły czas przelotu między odległymi kontynentami. Przy okazji przypomnę, że oba te statki powietrzne zabierają na pokład około 130 pasażerów — a więc stosunkowo niewielką liczbę.

Od tamtych dat upłynęły zaledwie miesiące i oto mamy nową sensację lotniczą. Ponad Atlantykiem przeleciał prawdziwy gigant powietrzny — amerykański samolot pasażerski Boeing 747 — zwany w skrócie „Jumbo" (czytaj Dżambo). Nie jest to wprawdzie samolot ponaddźwiękowy — ale za to może zabrać na pokład 490 pasażerów. Dodając do tego piętnastoosobową stałą załogę oraz osiem stewardess — otrzymamy cyfrę 513 osób, które „Jumbo" zmieści w swoim „brzuchu". Tego giganta można więc śmiało porównać do... transatlantyku średniej klasy — z tym, oczywiście, że „Jumbo" bije statek pod względem szybkości. Próbny lot, który odbył się niedawno z Nowego Jorku do Londynu, trwał zaledwie kilka godzin. Pasażerowie po wylądowaniu w Londynie oznajmili, że nigdy jeszcze nie leciało im się tak wygodnie. Rzecz oczywista, lądowanie „Jumbo" stało się prawdziwą sensacją dla prasy, radia i telewizji. Samolot miał potem odlecieć do Paryża, ale w ostatniej chwili kapitanat lotniska „Orly" odwołał lot, obawiając się, że „Jumbo" nie zmieści się na pasach startowych. I oto mamy problem. Nasze dzisiejsze lotniska — nie są po prostu przygotowane na podjęcie takich gigantów powietrznych. Trzeba więc przebudować wszystkie nieomal międzynarodowe porty lotnicze świata. Musi się też zmienić cała technika obsługi pasażerów. Przede wszystkim powstaje problem tłoku na lotniskach. Wyobraźcie sobie lądujące co kilka minut giganty, wyrzucające ze swojego brzucha po 500 pasażerów. Pomieszczenia lotnisk są ciasne; w dodatku wszędzie urzędują celnicy. Wiele czasu zajmuje kontrola paszportowa. Jak usprawnić te czynności? Oto problemy do rozwiązania w najbliższej przyszłości. Lotniska będą też musiały mieć bezpośrednie połączenia z szybką koleją miejską, która rozładowywać będzie tłok...

A teraz kilka danych technicznych „Jumbo". Maksymalna szybkość samolotu — 990 kilometrów na godzinę. Waga — 320 ton, ale bez paliwa („Jumbo" — zabiera do zbiorników 120 tys. litrów paliwa).

I jeszcze jedna uwaga: również inne kraje — w tym ZSRR — budują swoje giganty powietrzne, mogące zabrać na pokład kilkaset pasażerów. Jednym słowem — czeka nas nowa era w komunikacji lotniczej, era samolotów ponaddźwiękowych i tzw. gigantów.

(Z. P.)

Na górnym zdjęciu: „Jumbo" przed odlotem do Londynu. Jego sylwetka jest podobna do olbrzymiego... słonia (Jumbo, słoń bohater opowieści Rudyarda Kiplinga).